

Gerhart Schmidt

O pochodzeniu języka¹

Francuski lingwista, Emile Benveniste, postrzegał pochodzenie języka jako problem leżący odłogiem, którego lingwistyka nie ważyła się poruszyć. Faktycznie, zgłaszane na ten temat hipotezy wiszą do pewnego stopnia w powietrzu, ponieważ nie są falsyfikowalne. Jest to sprawa nie tyle pozytywnej nauki, co filozofii. Pochodzenie języka nie jest bowiem faktem historycznym; przynależy on raczej do, mówiąc za Kantem, „przypuszczalnego początku ludzkości”. Rozważając problem języka, filozofia musi wyemancypować się z lingwistycznej empirii. Pracłowiek powstaje dopiero wtedy, gdy dysponuje językiem. W obliczu tezy, że z powstawaniem języka wiąże się ściśle powstanie człowieka, zawodzi empiryczne językoznawstwo. Język stanowi niezbędny warunek dla *toolmaking animals* i dla tegoż historycznej egzystencji.

Dopiero język tworzy człowieka; ten wszelako musiał już istnieć w swej fizycznej postaci, żeby język mógł powstać przez niego i w nim. Owe drugie narodziny stały się wdzięcznym obszarem dla biblijnego mitu: to nie Bóg, lecz Adam obdarzył imionami zwierzęta (a przypuszczalnie również samego siebie i swoją towarzyszkę). Skoro tylko początek języka stał się problemem filozofii, Protagoras podjął próbę oczyszczenia go z mitu. Odwołał się przy tym do Hezjoda: olimpijscy bogowie mieli rzekomo powierzyć dwóm

|5

¹ Przekład za zgodą Autora na podstawie: *Vom Ursprung der Sprache*, w: M. Domaradzki, E. Kulczycki, M. Wendland (red.), *Język, rozumienie, komunikacja*, Poznań 2011, s. 37-45.

synom pozbawionego władzy tytana wyposażenie zwierząt w zdolności, łącznie z ważnymi dla życia sprawnościami. Epi-meteusz podjął to zadanie i obdarował skwapliwie zwierzęta, zaś dla ludzi nie pozostało już nic. Wówczas jego brat, Pro-meteusz, przyjaciel ludzi, wykradł dla nich boski ogień, wraz z instrukcją odnośnie do jego stosowania, za co został przez Olimpijczyków srogo ukarany. Protagoras uzupełnił to podanie: Prometeusz miał ponadto obdarować ludzi umiejętnością tworzenia państw, a także niezbędnym do tego celu językiem. Platon przekazał nam tę optymistyczną naukę sofisty po to, aby poddać ją krytyce.

Arnold Gehlen (1940) określił podobnie człowieka jako „istotę niedoposażoną” i na tej tezie zbudował swoją filozoficzną antropologię. Syn tytana, Prometeusz, się zużył i mistrzynią ludzi stała się teraz sama potrzeba. Język miał powstać w wyniku potrzeby jako sztuka, której początki mają naturalny charakter; nie został on wynaleziony, lecz raczej odkryty przypadkowo. Czy takie stwierdzenie rozwiązuje problem powstania języka? Dla ustalenia znaczenia słów potrzebna była konwencja, tzn. jakiegoś *uzgodnienie*. A więc język powstał z języka! Faktem, że znaczenia słów mają charakter konwencyonalny, że są „ustanawiane”, można wyjaśnić istnienie wielu języków, lecz nie ich pochodzenie. Już Platon pytał, czy język jest *physei* czy *thesei*, czy jest naturalny czy stanowiony; W *Kratylosie* mamy odpowiedź: ani to, ani to.

Wittgenstein wymyślił w swoich *Dociekaniach filozoficznych* nową, sofistyczną historię o początku języka, opartą na przekonaniu Augustyna zawartym w *Wyznaniach*, a dotyczącym przyswajania języka przez dzieci. Wittgenstein przedstawił nam bardzo łatwy, wszelako „zupełnie prymitywny język”: służy on porozumiewaniu się na placu budowy i składa się jedynie z czterech słów: „kostka, słup, płyta, blok” (Wittgenstein był architektem). Odtwórzmy ową scenę: niemiecki brygadzysta ma w swoim zespole Polaka, Wietnamczyka i Turka. Każdy z nich wnosi określony język, który warunkuje rozumienie poleceń; zakłada się tedy istnienie rozwiniętego języka, stanowiącego warunek wstępny funkcjonowania tamtego „zupełnie prymitywnego języka”. Język prymitywny stanowi produkt normalnego języka, nie można go więc traktować jako przyczynę tegoż.

Niemieckie słowo *język* jest bardziej zbitką pojęć (*Inbegriff*) niż pojęciem; obejmuje zarówno liczbę pojedynczą, jak i mnogą. Jeszcze bardziej wieloznaczny jest *logos*. Wieloznaczność jest niezbędna dla naświetlenia problemu i bynajmniej nie jest wadą. „Język” obejmuje więc pewien kompleks znaczeniowy, który współgra w każdorazowym procesie językowym. W języku francuskim zρέcznie współgrają *langue*, *language*, *parole*, uaktywniając różne aspekty języka; nie jest to określanie jakichś realnych składników fenomenu

języka. Ich suma ani nie tworzy całości, ani też nie pozwala ogarnąć całości znaczeń, wynikających z tamtego różnicowania.

Określenie „pochodzenie języka” zawdzięczamy prawdopodobnie „burzy i naporowi” młodego Herdera. Praca Herdera z 1772 r. oraz jej tytuł usunęły zarazem z obiegu oświeceniowe pytanie konkursowe królewsko-pruskiej Akademii; czarodziejskie słowo „pochodzenie” wyklucza bowiem zarówno ingerencję boską, jak i procedurę ludzką. To, że Herder mimo to nagrodę otrzymał, świadczy o wielkoduszności i otwartości konkursowej kapituły. Z „pochodzeniem” wiąże się wyobrażenie jakiegoś tajemniczego powstawania, jakiejś dziwnej *causa prima*.

Herderowi nie udało się ustalić pochodzenia języka. Jego osiągnięcie polegało na ukazaniu poprzez transcendentalno-logiczne rozważania, że człowiek i język powstały jednocześnie. Młody Goethe przyjął z entuzjazmem genialną pracę konkursową swojego starszego przyjaciela.

Herder skończył z przesadami: język ani nie mógł spaść z nieba, ani nie mógł zostać wynaleziony przez pracownika. Wydarzenia związane z powstaniem języka pozostają wszelako niejasne, ponieważ cała historia zakłada już język. Pierwsze zdanie rozprawy eksponuje elegancko ową osobliwość za pomocą paradoksu: „już jako zwierzę człowiek posiada język”.

Z obiegowymi hipotezami dotyczącymi powstania języka rozprawił się Herder w sposób jednoznaczny: tylko człowiek posiada język – **musiał** go sobie wynaleźć, aby być człowiekiem i móc żyć jak człowiek. Pozbawione języka zwierzę jest doskonale wyposażone dla potrzeb przeżycia. Herder wzmocnił antyczne ujęcie człowieka jako istoty niedoposażonej, która jest w stanie przeżyć tylko dzięki językowi. Nasze czasy są skłonne osłabić takie rozróżnienie: śledzenie naszej przeszłości wykazało przecież, jak blisko nam do naczelnych pod względem genetycznym; z małą wszakże różnicą, że naczelne nic o tym nie wiedzą i nie uprawiają badań genetycznych.

Herder wkomponował istotę człowieka w sferę stosowania języka, mocą którego buduje on domy i państwa oraz żyje w wymiarze historycznym. Podobnie do antycznej nauki o powstaniu języka, potraktował on język jako zbawcę człowieka upośledzonego przez naturę. Wiedział wszakże, o co tu chodzi: nie o to, do czego język człowiekowi służy, lecz o to, **jak** ta zdolność stała się możliwa oraz **jak** włączyła się ona w procesy życiowe. Dzisiaj **młody** Herder (którego geniusz zniknął już w *Myślach o filozofii dziejów* z 1784 r.) protestowałby przeciw nowoczesnym, naturalistycznym założeniom, które w kontekście badań nad człowiekiem prehistorycznym chcą traktować rozwój narzędzi językowych jako przyczynę zamiast jako następstwo sprawności językowej. W świetle nauki Darwina daje się stwierdzić właśnie coś odwrotnego – mianowicie to, że rozwijająca się sprawność językowa warunkuje

i wymusza na fizjologicznym wyposażeniu ich zastosowania i rozwój. Sprawność językowa nie stanowi jakości fizjologicznej, lecz logiczną.

Herder: „człowiek wprawiony w stan namysłu, który jest mu właściwy [...] wynalazł język”. Na czym polega owa sprawność językowa, która wymusza rozwój i użycie języka? Tu pozostawia nas Herder w kłopotcie. Jego wypowiedzi na temat beczącej owcy, inspirującej dawnego człowieka, eliminują wprawdzie naiwną onomatopeję, nie dostarczają wszakże niczego więcej. My natomiast musimy poznać i zaakceptować fakt, że w zamierzchłej przeszłości hominidy musiały wpaść na pomysł rozróżnienia zero-jedynkowego. Był to potężny skok do przodu, jakiego dokonał *homo sapiens*, który umożliwił mu wyrwanie się ze świata zwierzęcych reakcji; uratować mógł go tylko potężny skok do przodu. Owa rewolucja, uświadomienie sobie i zastosowanie negacji, uczyniła język możliwym i jednocześnie go wymusiła.

Rzecz jasna praczłowiek nie znał liczb, a już zupełnie zera, obcego klasycznemu antykowi. To ostatnie skryło się wśród najprostszych zastosowań i jest podświadomie używane i widoczne chociażby w rozróżnianiu zero-jedynkowym, jest wskazywaniem-na-coś, wyróżnieniem. Nie należy go mylić z pokazywaniem-czegoś, co potrafi już aportujący pies, dopasowany do człowieka. Kiedy wskazujemy na coś, przypisujemy temu czemuś wartość aprobowaną, wszystko inne wokół negujemy. Prosty proces wskazywania inicjuje zatem rozróżnienie między byciem i nie-byciem. Tym sposobem został położony kamień węgielny dla języka, mający związek z powstaniem człowieka.

Początek języka i człowieka nie jest bynajmniej faktem prehistorycznym; nie świadczy o nim ani przekaz, ani żadne szczątki. Droysen osadza słusznie historię na pozostałościach, pomnikach, źródłach. Historia niespisana może powoływać się co najwyżej na skamieliny i pozostałości kulturowe. Wszakże najstarszy język nie pozostawił żadnych śladów, oprócz anatomicznych osobliwości ustalanych na podstawie wykopywanych kości; musi on zostać zrekonstruowany od podstaw. Początek języka nie ma więc charakteru prehistorycznego, lecz w najlepszym wypadku przed-historyczny; nie przysługuje mu atrybut czasowości, lecz jest ustalany w sposób abstrakcyjno-logiczny. Pozbawionych cywilizacji ludzi można spotkać jeszcze dzisiaj, wszakże nie ma już dziś bezjęzycznych hominidów, które musiały, a także umiały język dopiero wynaleźć.

Cesarz Fryderyk II zarządził okrutny eksperyment, który miał się przyczynić do odnalezienia języka adamowego: noworodki wzrastały bez kontaktu z językiem. Dzieci jednakowoż zmarły, zanim zaczęły się porozumiewać, jak oczekiwano, za pomocą ludzkich dźwięków. Bez języka były one bezradne, jakby urodziły się głuche i ociemniałe. Eksperyment z dziećmi musiał upaść, ponieważ zakładał opaczny początek języka. Język powstaje

ontogenetycznie wszędzie tam, gdzie wzrastają niemowlęta, uczące się bez trudu mówić poprzez naśladowanie; do samodzielnego wynalezienia języka są wszakże za słabe. Małżeństwo psychologów, Karl i Charlotta Bühler, dokumentowało postępy językowe swoich własnych dzieci. Ustalili oni, że sprawność językowa stanowi genetyczny kapitał dzieci. Konkretnego języka, języka otoczenia dziecko uczy się poprzez zabawę, niezależnie od jego proveniencji.

Proces uczenia się jest co prawda obserwowany, aczkolwiek nie zrozumieliśmy. Skoro już jako dzieci żyliśmy się bez problemu z językiem, nie możemy sobie potem odtworzyć, jak proces ten przebiegał. Małe dziecko uczy się inaczej niż papuga: poprzez załączkową inteligencję, która rozkwita w języku. Dziecko potrzebuje języka nie tylko w celu przeżycia, lecz po prostu do życia! Język stanowi element egzystencji, człowiek zaś jest *animal loquax*.

Początek języka stanowi problem, który zmusza nas do tego, aby wnioskować na podstawie zjawisk o ich uwarunkowaniach; tenże rekurs okazuje się wszakże bezowocny zarówno w aspekcie czasowym, jak i z pozycji psychologii rozwojowej. Należy obrać metodę analityczną, w sensie filozofii transcendentnej. W żywym języku dają się w każdym razie wykazać archaiczne składniki jako zaczątki języka symbolicznego.

Wykrzykniki byłyby kandydatami na pierwotne składniki języka. Również prymitywny język Wittgensteina składa się nie z rzeczowników, lecz z wykrzykników! W gramatyce łacińskiej brzmiał *Dic-duc-fac-fer-i* dostatecznie prymitywnie, aby uchodzić za elementy archaiczne. Wykrzykniki te mogły też zostać szybko przekazane barbarzyńskim niewolnikom. Wykrzykniki nie są wszakże pierwotnymi formami, które przetrwały; są one, z logicznego punktu widzenia, prostymi wyrażeniami dla kompleksowych, często się powtarzających i intersubiektywnych sposobów zachowań; skrótami skomplikowanych wydarzeń, na wzór naszych znaków drogowych. Bo przecież powtarzające się, kompleksowe sytuacje wymagają ze swej strony całych zdań, wyostrzających jeszcze zjawiska społeczne. Wykrzyknik spełnia to zadanie w sposób krótki i węzłowaty; ucina ponadto pytanie o „jak” i „dlaczego”.

O wiele pewniej do najstarszych składników języka mogły należeć *słowa wskazujące*; są one bowiem niezbędne i logicznie proste. Podobnie rzecz się ma z przysłówkami miejsca i czasu, z określonym rodzajnikiem oraz z tak zwanymi (myśląc) za-imkami. Ich najważniejsza funkcja sprowadza się do tego, aby ustanowić aktualne odniesienia człowieka do rzeczywistości: „to tam” albo „ty” nie może nie istnieć. Poprzez wskazywanie można niewerbalnie uzmysławiać skomplikowane procesy: fizycznym znakiem można zapisywać tomy. Nie realnej, lecz idealnej natury są odniesienia w tekście: „Co do tego, musi mi Pan wierzyć”. Wskazuje się tu, zamiast na coś realnego,

na wcześniejsze zdanie. Znak jest wszakże „przedjęzykowy”. Sam nie stanowi początku języka, lecz na ten początek wskazuje. Inaczej niż przy pokazywaniu-czegoś, wskazywanie-na-coś jest charakterystyczne dla człowieka.

Poprzez anatomiczne usytuowanie kciuka ręka przyjmuje kształt obcęgow; ręka jest „narzędziem narzędzi” (Arystoteles). Oddzielony kciuk uwalnia zarazem palec wskazujący. W połączeniu z pionową postawą ciała, biorącą udział we wskazywaniu, uwolnione ręce oraz zwrócenie się przodem do otoczenia stanowią właściwości charakterystyczne dla człowieka. Daną sytuację ogarnia człowiek w *mgnieniu oka*. Wskazującemu brakuje wszakże błyskawicznej reakcji, jaką wykazuje zwierzę; człowiek się waha i zastanawia.

Logikę wskazywania stanowi wypuklenie czegoś: to, i nic innego; owo inne jest negowane bądź marginalizowane. To, co się ma na myśli, zostaje uprzedmiotowione, natomiast wszystko inne dookoła – jest zaciemnione i rozmazane. Wskazywanie zakłada, że jego adresat również zaneguje otoczenie, aby tym lepiej wyodrębnić i dostrzec wskazywane przedmioty: Jeleń! Ogień! Zagrożone dziecko! Skutecznie można wszakże wskazywać tylko na te przedmioty, które są wyraziste; z reguły przysługuje im nazwa. Nazwa jednostkowa i gatunkowa jest wskazywaniem na jeden *przedmiot*, który daje się zawsze i wszędzie wyodrębnić.

Wokół procesu wskazywania mógł powstać jakiś skromny zaczątek języka, wyposażony skąpo pod względem fonologicznym. Dziś, z perspektywy naszej językowej rzeczywistości jest nam trudno przenieść się w stan bez-językowości oraz, wynikającego z tamtej, językowego ubóstwa. Wszelako pierwsze – intencjonalne dźwięki nie mają już cech zwierzęcych, lecz stanowią pierwszy stopień do ludzkiego języka i zachowania. Na co wskazuje palec? Nie na powierzchniowość, nie na czyjś czubek nosa, lecz celuje w środek, w środek ciężkości czegoś jako całości, a tym samym wskazuje na oddzielną egzystencję wyodrębnionego przedmiotu. Podstawowy tekst wskazywania brzmi: „bycie oraz nic”. Wszelkie wskazywanie bazuje na rozróżnieniu między byciem i nicością, zwiastując człowieczeństwo. Proste rozumienie bycia decyduje o pre-człowieczeństwie, warunkuje język. Mógłby to unaocznic pierwszy rok życia, gdyby tylko można było wnikać w rodzące się rozumienie bycia. O procesie tam zachodzącym musimy zatem tylko wnioskować w sposób pośredni.

Samo wskazywanie niczego w przyrodzie nie zmienia. Życie nie staje się dzięki temu ani łatwiejsze ani bardziej bezpieczne; przeciwnie: miejsce błyskawicznej reakcji zajmuje namysł i spóźnione działanie. Wskazująca ręka ma wymiar pragmatyczny dla tego czy tamtego, stanowi też egzystencjalną wartość dla samego wskazującego. Wskazywanie nie jest ani praktyczne, ani teoretyczne, przygotowuje wszakże grunt pod teorię i praktykę, musi zatem

dla *homo sapiens sapiens* pośredniczyć pomiędzy obydwoma postawami. Zachowanie przed-ludzkie przeszło niepostrzeżoną przemianę, kiedy reakcje tracą charakter instynktowny, zaś ręka wskazująca staje się ręką chwytającą. Wskazując, ujmuje ona zarazem przedmiot, który dla małpy przejawiał jedynie wymiar pożywienia. Kamień, który bezpośrednio służył do rzucania, nie był przedmiotem; stał się nim, znalazłszy zastosowanie w budownictwie. Otwiera się tym sposobem i bardzo powoli droga do swobodnej obróbki.

Prostemu wskazaniu odpowiada w rozwiniętym języku wskazujące słowo: to i tamto, tu i tam, dzisiaj i jutro, ja i ty. Uczyniony słyszalnym znak kotwicy w cielesnych przejawach, choć ulega procesowi różnicowania: na *dzisiaj* nie wskazujemy wszak palcem, nie mówiąc już o *poprzednim roku*.

Proste wskazywanie ręką może być też pomocne nawet rozwiniętemu człowiekowi, może wręcz usprawnić jakieś działanie. Funkcjonuje ono wszakże tylko w określonym miejscu i czasie, jakakolwiek zmiana w tym względzie niweczy jego przydatność. Wskazywania nie daje się przenosić; można je wszakże oddzielić od osoby wskazującej, kiedy zostaje obdarzone *nazwą*. Nazwa jest wskazywaniem uwolnionym od sytuacyjnego uwarunkowania, związanym raczej z nazywanym przedmiotem niż z użytkownikiem. Nazwa własna towarzyszy oznaczanej rzeczy w ciszy i nieustannie. O-znacza ową rzecz, jest jej znakiem. Nazwa własna związana jest w sposób szczególny z osobą, która reaguje na nią inaczej niż zwierzę. (Pies, zdający się znać swe imię, odbiera jedynie sygnał nakazujący zwrócić się w stronę pana; on nie wie, że ma jakieś imię). To, co ma nazwę, staje się rzeczą. Wszystko zaś, co *nosi* nazwę, jest osobą. Dźwięk jest zdolny funkcjonować nawet w ciemności i przy ograniczonej widoczności; w przypadku znaku pisanego zyskuje on nawet trwałość.

Nazywanie ma zatem swoje źródło we wskazywaniu. Wypowiedziana nazwa wskazuje na przedmiot tak samo, jak czyniła to ręka w ludzkich początkach; nazwa jest niejako wskazówką przymocowaną do przedmiotu. Przedmiot zyskuje w niej idealne, demonstrujące podwojenie. Nazwa własna człowieka przeżywa nawet egzystencję fizyczną i przenosi ją na grobową płytę.

Do nazwy przyłączają się załączki gramatyki. Nazwa własna, która zastępuje osobę, może zostać gramatycznie zastąpiona przez słowo posiłkowe, takie jak zaimek. Pierwotnie nazwy zastępowały jeszcze tzw. za-imki, które powinny raczej i trafniej nazywać się przed-imkami. Nazwa własna jest realistyczna, ponieważ oznacza faktyczny stan rzeczy. Nazwa ogólna, zwykły rzeczownik, wywołuje natomiast idealny schemat, za pomocą którego przedmioty można porządkować. Realne odniesienie zyskuje ona wszakże dopiero poprzez słowo wskazujące, bądź też poprzez jego słabszą formę, jaką jest określony rodzajnik. Rodzajnik nieokreślony wskazuje na wycinek

egzystencji: był kiedyś (jakiś) król albo: (jakiś) krasnoludek żyje w (jakimś) lesie. Odniesienie do rzeczywistości jest tu mgliste, przytłumione lub trąci wręcz imaginacją.

Nazwy pozwoliły utworzyć z dość bezradnego wskazywania coś w rodzaju uniwersum znaków, świat językowy. Świat ten opiera się na prostym rozumowaniu zero-jedynkowym. Język nazw jest wciąż niedoskonały, wszelako ulega ciągłemu rozwojowi. Chemia, zwłaszcza chemia organiczna, zastąpiła umiejętnie bez-nazwowość molekularnych połączeń nomenklaturą sztuczną. Wszystkim rzeczom, z jakimi człowiek ma do czynienia, musi przysługiwać jakaś nazwa lub chociażby oznaczenie cyfrowe. Nazwy są skostniałym, utrwalonym wskazywaniem, stanowią zamrożoną intencjonalność. Dają się łatwo aktywować, i łatwiej sterować niż same rzeczy.

Właściwe użycie nazw ma coś z wolności, chociażby w przypadku zaistnienia starczego zaniku pamięci. Odzyskanie zapomnianej nazwy niezwykle uspokaja; dostarcza przeżycia oczywistości! Oczywistość nie pojawia się dopiero wraz z udanymi operacjami matematycznymi; pierwotnie jest ona przeżywana przy skutecznym używaniu nazw. Mówienie jest czynnikiem wyzwalającym już w rudymenarnym stadium nadawania nazw. Nazwy ułatwiają życie i stymulują inteligencję. Świetnie oddaje istotę języka (*parole*) wypowiedź przyjaciela Montaigne'a, Pierre'a Charrona z 1601 r.: stanowi on „rękę ducha”.

Przykro jest, kiedy zapomina się nazw; lecz biada, gdy zostaną poplątane! Zaprzepaszczone zostaje wtedy przewaga życiowej mądrości, zaś instynktowność zwierzęca jest przy tamtej plątaniu rajskim darem. Być może owo przedstawianie czegoś zupełnie nieobecnego za pomocą nazwy prowadziło do uświadomienia sobie wszechobecności zmarłych, podczas gdy dla praczłowieka, podobnie jak i dla zwierząt, zwłoki były jedynie padliną i pozostawały niezauważone przez innych przedstawicieli gatunku. Ludzka wiedza dotycząca śmierci jest nie tylko w języku wyrażana, lecz została wręcz przez język wymuszona. Fakt, że zwierzęcy krewni człowieka są od tego wolni, opiewał już Rilke [w *Ósmej elegii* – dop. B.A.]:

12|

Stworzenie widzi wszystkimi oczami
Przestwór. Jedyne nasze oczy są
jakby odwrócone, zastawione gęsto
jak sidła w krąg wolnego wyjścia.
O tym, co jest na zewnątrz, wiemy tylko
z twarzy zwierzęcia; gdyż już małe dziecko
zmuszamy, by widziało odwróconym wzrokiem
świat form, nie Przestwór, co tak jest głęboki
w oczach zwierzęcia. I wolny od śmierci [...]

Nie mamy nigdy, choćby przez dzień jeden,
przed sobą czystej przestrzeni, gdzie kwiaty
kwitną niezmiennie. To zawsze jest świat,
a nigdy Nigdzie bez nie [...]

(tłum. Mieczysław Jastrun, cytat za: http://www.poezje.hdwoa.pl/wiersz_181-osma_elegia_rainer_maria_rilke.html).

Postęp w ucłowieczeniu miał miejsce wówczas, gdy wskazywanie zostało nadużyte w celu wprowadzenia innych w błąd. Pracłowiek, który umiał wskazywać, lecz nie dysponował jeszcze nazwami, nie mógł oszukiwać innych przedstawicieli swego gatunku. Lecz oszukać mogło już proste zastosowanie nazw. Skoro nazwy mogą być używane właściwie bądź błędnie, stają się orzeczeniami (*Prädikat*). Od tego momentu następują rozróżnienia: to nie jest pies, lecz wilk. Wprowadzanie w błąd pociąga za sobą niekiedy zalety; nadużycie nazwy natomiast uchodzi wręcz za wspianiały wynalazek, ponieważ dementowanie nadużycia prowadzi do ustanowienia zdania. Podobnie zresztą musiało się łączyć różnicujące użycie dźwięków ze standaryzowaniem tychże.

Ustabilizowana baza akustyczna rozszerzała możliwości wyrazu. Od strony logicznej wydarzyło się wszakże coś niezwykłego: narodziło się zdanie, a wraz z nim rozróżnienie między polem wskazywania i polem symbolicznym (za Karla Bühlera *Teorią języka* z 1934 r.). Rozwinięty język jawi się jako system dwuklasowy, złożony ze znaczenia słów i budowy zdania, z semantyki i składni. Proste, izolowane zdania są podświadomie stosowane już na polu wskazywania; pomyślmy o orientowaniu się w sieci metra, i o gigantycznym zamieszaniu, jakie mogłaby wywołać zamiana tablic z nazwami stacji w paryskim metrze.

Rozwinięte życie człowieka nie jest już nie tylko naturalne, lecz jest coraz bardziej sterowane i zabezpieczane poprzez język. Ułatwienie życia powodowane używaniem języka dla lepszej orientacji i rozszerzanie horyzontów poprzez modalności (możliwość a rzeczywistość), jakie otwiera dopiero język, ma swoją cenę. Pojawia się wyobcowanie, powodowane ideologiczną wybujałością języka, a także niedokładnością w jego stosowaniu. Wszystko to dzieje się za sprawą języka, co przypomina chciwego króla Midasa, który umarł z głodu, kiedy spełniło się jego życzenie, aby wszystko, czego dotknie, zamieniało się w złoto. To, co wyniknęło ze zwykłego wskazywania, wpieryw przybierało na sile, w końcu stało się światem, zapośredniczonym już tylko poprzez język; z perspektywy nauki o podstawowych prawach życia jest to świat podzielony w konwencji zero-jedynkowej, bycia bądź nie-bycia. Stosunkowo późno uświadamia sobie *homo sapiens sapiens*, że świat językowy może przemienić się w więzienie. Wolne są jedynie zwierzęta, ponieważ są „wolne od śmierci”.

Na szczęście człowiek pojmuje język najczęściej jako wzbogacenie; gwarantuje on bowiem – zamiast wolności przyrodniczej – wolność poprzez symbolikę, aż po pieniądź (złoto Midasa). Jak trudne, a zarazem jakże radosne jest wyrwanie się z więzienia bezjęzykowości, świadczy przypadek wysoce uzdolnionej Helen Keller (1880–1968), która w 19. miesiącu życia straciła, w wyniku zapalenia opon mózgowych, wzrok i słuch, a która umarłaby jak ofiary eksperymentu językowego Fryderyka II, gdyby jej opiekunowie nie obudzili w niej rozumienia rzeczywistości, rozwijanego za pomocą wrażliwości skóry. Uczyla się zastępczo używać nazw. Musiało jej brakować już zwykłego wskazywania. Przed siedmioletnim dzieckiem otwarł się wszakże, dzięki mądrej opiekunce, drugi element języka: zdanie, a wraz z nim królestwo prawdy. Zwykły, dotykowy dostęp do, po ludzku interpretowanego, świata umożliwił jej nawet sukcesy w pracy naukowej.

Każdy język ulega nieustannym zmianom, ale też trzeba przezwyciężać zmiany szkodliwe, jak ta dotycząca „reformowania niemieckiej pisowni” (*vulgo* złej reformy pisowni). Decydował wszakże ten pierwszy krok: rozróżnienie między „byciem i niczym”, warunkujące ludzką wolność. Parmenides odkrył jako pierwszy, że zrozumienie bycia oraz niczego otwarło przed nami świat: „χρὴ τὸ λέγειν τε νοεῖν τ’ ἐὸν ἔμμεναι· ἔστι γὰρ εἶναι, μηδὲν δ’ οὐκ ἔστιν – potrzeba sprawia, że mówimy i utrwalamy: byt jest. Istnieje być, nie ma wszakże żadnego nic”. Przedjęzykowe podstawy języka uznaje Parmenides za tautologię. Wewnątrz języka przeczą sobie bycie i nie-bycie: na tym polega owo pra-rozróżnienie. To ono tworzy podstawę języka oraz interpretowanego przez język – świata.

Przekład z języka niemieckiego
Bolesław Andrzejewski

About language origin

Abstract

What is the origin of language? Herder says, the word makes the man from the animal, but it should be a natural process. The author writes about the pointing at somebody/something as distinction between “being” and “nothing”. This action gets more and more symbolic. The pointing turned into names and grammatical structure. It becomes at last language.

Key words: J.G. Herder, origine of language as pointing at sb/sth